

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

**Wywiad z Janem Blicharzem
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego
w Krakowie, dn. 20 sierpnia 2008 roku**

W rozmowie brała też udział Żona Jana - Stanisława Blicharz

Nazywam się Jacek Galewski, jestem ankieterem Fundacji KOS. Celem naszej rozmowy będzie udokumentowanie pańskiej pamięci o okresie stanu wojennego. Chciałbym też zapytać o inne wydarzenia z pańskiej przeszłości, które w Pana ocenie mogły mieć znaczenie dla pańskiego życia w tamtym czasie.

Jacek Galewski: Kim byli pańscy rodzice?

Jan Blicharz: Polacy z Lubelskiego. Tam się urodzili oboje. Wyjechali do pracy najemczej do Łotwy, wtedy jeszcze, przed wojną, zanim Ruscy przyłączyli. No i tam się poznali. Pracowali jako robotnicy rolni. No i tam się urodziłem. W Lubelskiem nie było pracy, nie było gdzie się zaczepić, więc wyjeżdżali, bo tam była gospodarka postawiona na wzór niemiecki i tam tacy obszarnicy, jak potem ich nazwali Rosjanie, zatrudniali właśnie chętnie Polaków.

Ja jestem tak zwanym późnym dzieckiem. Bo ojciec był z 1905, a mama była starsza, była z 1898. I dożyła 101 lat. No. U nas zresztą jest pochowana, na Batowicach. Tak, że już była dobrze po czterdziestce, jak się urodziłem. A ojciec był kaleką od pierwszej wojny światowej, on gdzieś tam wypasał bydło i wlaź na minę, i uszkodziło mu całe biodro prawe, tak, że właściwie miał sztywne. Złożyli go tak na sztywno i kuśtykał przez całe życie. No, ale dożył 85 lat, było, nie było. Jestem z rodziny długowiecznej, że tak powiem.

Czy miał Pan rodzeństwo?

J.B.: Nie, jedynek jestem. Nie miałem... No, to już tak jak mówię: oni tuż przed tym pobrali się, że tak przez wpadkę, no. [śmieje się] Ojciec z tym swoim kalectwem nie miał chyba wielkich szans u kobiet, dlatego... Stąd się wzięła taka o tyle starsza osoba i tak to zostało.

No i ojciec cały czas, jak tylko zaczęła się repatriacja, to pierwszy rzut repatriacji się... Nie wypuścili nas ze względu na mnie. Rosjanie powiedzieli, że jestem urodzony na ich terytorium, jestem ich człowiekiem. I po robocie było. Ojciec się starał przez długie lata... Dopiero z drugim rzutem. Myśmy przyjechali do Polski dopiero bodajże w pięćdziesiątym... No, dziesięć lat. W pięćdziesiątym drugim albo trzecim dopiero nas wypuścili...

Stanisława Blicharz: E, chyba później Jasiu przyjechaliście... Miałeś skończoną szkołę podstawową. A w czterdziestym czwartym roku się urodziłeś.

J.B.: Drugim.

S.B.: Drugim. [śmieje się]

J.B.: No. W pięćdziesiątym... Dziesięć... No, czternaście lat. Koło pięćdziesiątego szóstego-siódemego roku gdzieś. Późno, późno. Bo nie dało się...

Co Pan pamięta z tego sowieckiego okresu?

J.B.: No, myśmy mieszkali przy fabryce torfu. Mama pracowała w fabryce jako pracownik fizyczny, ojciec był stolarzem tam u nich, w Rosji. Tam nawet miał taki zatarg z tym... O mało go nie zastrzelili, bo tam, w tamtym okresie zaraz po wojnie, to dyrektorzy chodzili z pistoletami. A jak sobie popił, to strzelał, gdzie mu tam popadło. I stary gdzieś się tam... Ojciec się postawił gdzieś i go postawił pod ścianę, i... Pijany był zresztą. No i jakoś tak koledzy tamtego odciągali, bo by zastrzelił ojca.

Czy pańscy rodzice starali się przez cały ten czas o wyjazd? Bo rozumiem, że z konieczności musieli się też pogodzić z tym, że tam są.

J.B.: No, nie było wyjścia, po prostu. To ojciec się starał. Mama była... Analfaberką, że tak powiem. To ojciec wszystko załatwiał, wszystko... Pisał te podania, tam łąził, jeździł za tym. Powiedzieli mu, że jak chce, to może wyjechać sam, a ja mam zostać. No, ale on nie chciał takiego rozwiązania i dlatego tak długo trwało. Aż się w końcu zgodzili. Była taka odwilż w pewnym okresie i zgodzili się, wypuścili nas.

S.B.: No, to było po śmierci pewnie Stalina.

J.B.: Po śmierci Stalina. Tak gdzieś koło czternastu [lat] miałem wtedy. Bo przecież ja przyjechałem tu i po roku pracy w pegeerze próbowałem się dostać do ogólniaka. Ale bardzo słabo mówiłem po polsku...

Tu, czyli do Krakowa?

J.B.: Nie, do Kętrzyna żeśmy trafili, bo tam były te ziemie odzyskane i tam obiecali, że każdy, kto przyjedzie, to dostanie gospodarstwo. Ale jak przyjechaliśmy, okazało się, że ojciec jest inwalidą, więc powiedzieli, że się nie nadaje do gospodarstwa, jest za słaby i nie dali gospodarstwa. Musieliśmy... Musiał szukać pracy w inny sposób.

A ja próbowałem po roku pracy, po pół roku, bo tak jakoś na wiosnę przyjechaliśmy, więc trochę w pegeerze popracowałem, trochę języka złapałem. Bo z Łotwy, to tylko kłąć umiałem, bo stary kłął po polsku ile weszło. [śmieje się] Mama też tam cośkolwiek po polsku, ale w ogóle to w domu raczej się posługiwano językiem łotewskim lub litewskim... Lub rosyjskim. Znajomi na osiedlu – rosyjski. W szkole – większość była Łotyszy.

A pańscy rodzice kim się czuli?

J.B.: No, Polakami cały czas, a jakżeż. Tylko, że poza sobą to nie mieli z kim rozmawiać, bo tam [nie było innych] Polaków. Chrzestny mój jeszcze był, też Polak z pochodzenia i jego dzieci. On tu już zmarł. Ale przyjechał sam, a córka została, bo wyszła za męża i tam została już. No, a on przyjechał do Giżycka i w Giżycku zmarł. On i jego żona i tam są pochowani, chrześni moi. [zamyśla się]

Zaczął Pan mówić o szkole.

J.B.: No, szkoła... Do ogólniaka mnie nie przyjęto, bo za słabo znałem język polski. Więc wybrałem się do zawodówki, bo w zawodówce nie robili tych pretensji. A trafiłem na dobrą polonistkę, bo zaczęła mi podsuwać książki: „Ogniem i mieczem”, całego

Sienkiewicza, wszystko, co się dało. A lubiałem czytać zawsze, więc całymi nocami to czytałem, tak, że w końcu, po trzech latach wyprowadziła mnie na czwórkę z polskiego. Potem poszedłem jeszcze do technikum, na Śląsku. Z Kętrzyna poszedłem do technikum, tam zdawałem na... Już nie pamiętam, na jaki kierunek. We dwójkę ześmy z tego Kętrzyna z takim kolegą pojechali. No, ale tam taki Niemiec był nauczyciel, strasznie nienawidził tych repatriantów, no i kiedyś się stałem z nim, bo taki charakter miałem raczej dosyć zaczepny. Zwazywałem go, zabrałem manele, i poszedłem na stację na pociąg. Pech chciał, że był pociąg od razu. [śmieje się] I ponoć przylecieli po mnie inni nauczyciele, żeby mnie ściągnąć, ale ja już odjechałem. I zaraz, za parę dni dostałem wezwanie do wojska. I trafiłem tym sposobem do wojska.

Ile Pan miał wtedy lat?

J.B.: No, wojsko, to dziewiętnaście. Czternaście... Tak się zgadza. Czternaście, trzy lata tego to siedemnaście. Tam byłem chyba rok w tym technikum i na drugim roku zrezygnowałem. Akurat u niego, z jego przedmiotu, kurcze, miałem problemy, bo on czepiał się zawsze wszystkiego, aż w końcu nie wytrzymałem.

Dwa lata odsłużyłem. Tam też różnie szło, bo od razu mnie skierowali na szkołę podoficerską. W łączności byłem, radiotelegrafista średniej mocy. Chciałem, żeby mnie przenieśli do Krakowa do spadochroniarzy, ale się nie zgodzili. Zrobili mnie szefem kompanii mojego rocznika... No, bo widocznie dobry byłem jako żołnierz. Ale ze swoim rocznikiem sobie nie poradziłem. [śmieje się] Że to tak zaczęło się z kapitanem. Z dowódcą kompanii zadarłem, bo jak miałem nadwyżkę, to przychodził, zabierał rzeczy do domu, prześcieradła, wszystko. A potem, jak chłopaki potargali parę prześcieradeł na czyszczenie broni i zabrakło mi, to mi zaczął grozić, że mi... Że będę płacił. No, to ja mu na to mówię, że to „przynies pan te, coś pan wziął”, nie? [śmieje się]

Zadarł Pan z kimś już po raz drugi.

J.B.: No. No i od tego momentu dwa tygodnie, degradacja, karne przeniesienie do Morąga. Do artylerii tym razem, jako łącznościowiec. Na urlop jak przyjeżdżałem, to byłem kapralem. Ale po degradacji starszy szeregowiec.

Pańscy rodzice mieszkali nadal w Kętrzynie?

J.B.: Cały czas w Kętrzynie, tak. A po skończeniu służby wojskowej przyjechałem tu, do Krakowa, do Huty, do pracy. No, bo się ogłaszali na całą Polskę, że potrzebują pracowników. Przyjąłem się do Hapeeru, Hutnicze Przedsiębiorstwo Remontowe i tam parę lat pracowałem. Ze cztery, z pięć. Aż do momentu, kiedy przy kolejnych badaniach okresowych okazało się, że mam pylicę płuc po aglomeracie. Bo byliśmy w brygadzie, która naprawiała aglomerownię przede wszystkim. Na wielkich piecach i stalowni też bywaliśmy, ale nasze stałe miejsce pracy [to] była aglomerownia. A zacząłem wtedy... Wcześniej, zaraz, jak przyjechałem do Krakowa, zacząłem uprawiać podnoszenie ciężarów. W wojsku, jak byłem w Olsztynie, w łączności, to uprawiałem zapasy. A w Morągu nie było zapasów, ale za to było coś tam z ciężarami, to się przenieśli. No i do Krakowa jak przyjechałem, to zapisałem się do sekcji do „Olszy” Kraków. Rewelacyjnych wyników nie miałem, taki amator. Normalnie praca i po pracy tam trochę treningu i tak od czasu do czasu jaki obóz się trafił, jakaś rozrywka była. I tak to szło.

Jak ta pylica się pokazała, to mi trener pomógł się przenieść do WSK Kraków. Potem tenże trener pomógł mi się przenieść do Krakowskich Zakładów Armatur. Nie wiem, gdzie ja bym mógł to znaleźć dokładnie, ale w Armaturze dwadzieścia pięć lat odpracowałem. Tam dosyć wcześnie się przenieśli. Do dziewięćdziesiątego piątego, dwadzieścia pięć w tył – siedemdziesiąty rok gdzieś przenieśli się.

A kiedy się Państwo poznaliście?

J.B.: No, tuż przed przeniesieniem do Armatury, nie? Czy już byłem w Armaturze? Byłem chyba w Armaturze już. Siedemdziesiąty... W sześćdziesiątym ósmym myśmy się pobrali. To jeszcze nie byłem w Armaturze, byłem w Wuesce.

W siedemdziesiątym drugim nam się urodziła, w styczniu, pierwsza córka. W siedemdziesiątym trzecim – druga. No i to wszystko, jak chodzi o rodzinę.

W Armaturze pracowałem cały czas na prototypowni, jako ślusarz narzędziowy, mistrz w zawodzie, przy tym [mam] uprawnienia spawacza elektrycznego i gazowego. No i przyszedł rok osiemdziesiąty. Włączyłem się w ten ruch...

Powiedział to Pan bardzo prosto, a jak to się stało? Dlaczego się Pan włączył?

J.B.: No, mieliśmy dość tego wszystkiego. Zaczął się... Usłyszeliśmy to, że w Gdańsku jest rozróbka. Przedtem jeszcze, w sześćdziesiątym ósmym bodajże... Którymś, co to strzelali w Gdańsku...?

W siedemdziesiątym.

J.B.: No, to u nas też była lekka rozróbka w Armaturze, stanęliśmy na chwilę. Ale jakoś nam to wyperswadowano, wtedy rozeszliśmy się. Niewiele się wtedy jakoś zaangażowało, no, ale już ta gorycz została i tak dotrwaliśmy do tego osiemdziesiątego. I w osiemdziesiątym natychmiast, jak zaczęły się ruchy w Gdańsku, myśmy stworzyli komitet strajkowy i wysłaliśmy jednego naszego przedstawiciela do Wałęsy. Przywiózł stamtąd papiery, ulotki, wszystko, co potrzeba było do stworzenia... W jaki sposób się tworzy komisję zakładową, jak to wszystko, statut... No i zorganizowaliśmy się.

Pamięta Pan kiedy dokładnie to było?

J.B.: Nie, dokładnie to już nie pamiętam w tej chwili. [Ale] jeszcze przed rejestracją [„Solidarności”], jeszcze w czasie strajku tamtego to już żeśmy wysłali przedstawiciela naszego. Pachura się nazywał.

Ile osób pracowało wtedy w Fabryce Armatur?

J.B.: Armatura i jeszcze był Jordanów z nami połączony, to było... W „Solidarności” było, jak byłem przewodniczącym, bo mnie powołali na przewodniczącego, wybrali, to było ponad trzy tysiące ludzi, w tym momencie. Duży zakład był, bo to były dwa zakłady, potem roz... to, rozpirzyli. Jordanów odszedł na swoje, Armatura została i się robiła coraz mniejsza i w tej chwili już jest całkiem mała.

A jak to się stało, że Pan został przewodniczącym komisji zakładowej? Bo to też powiedział Pan tak po prostu, a przecież...

J.B.: No, ten pierwszy moment wszedłem do komitetu założycielskiego, od razu jak już wysłali... To znaczy, wtedy nawet nie nazywaliśmy tego komitetem założycielskim, po prostu grupka osób się zebrała i wysłaliśmy przedstawiciela, bo nie bardzo wiedzieliśmy, jak to tworzyć. Jeden inżynier był, Jarzmik się nazywał, Kazimierz. Jego zresztą... Nakazali mu wyjazd z Polski, wyrzucili go po prostu, podstawili wagon i kazali wyjeżdżać. I we Francji mieszka w tej chwili. On był w tym momencie tą głową, takim organizatorem. No i upatrzył mnie, wystawił moją kandydaturę. Bo myśmy bardzo często współpracowali. On był inżynierem, który współpracował z prototypownią, więc bardzo dobrze znaliśmy się. A to był człowiek, który nie bał się brudzić rąk, po prostu lubił [popracować] sobie czy przy samochodzie, czy coś... To on nie tak, jak inni inżynierowie, że przychodził „a zrób mi to, czy zrób mi tamto”, nie? On przychodził, tylko

się pytał: „jak to robicie”? [śmieje się] A zrobić, to o sam zrobi, bo on musi umieć to, nie? Taki tego typu człowiek był.

Ale wróćmy do tej grupy założycielskiej.

J.B.: No, no to był... Z paru wydziałów było. Byłem ja, był Pachura z narzędziowni był Urban z odlewni. No, Jarzmik to wszystko montował wspólnie. Może tam jeszcze było parę osób chyba, z innych wydziałów, ale nie pamiętam nazwisk. Oni się jakoś mniej chyba udzielali, no.

A czy było tak, że znaliście się z zakładu, czy to byli ludzie, którzy byli w różnych wydziałach popularni?

J.B.: Znaliśmy się. Czy ja wiem, czy popularni... Raczej to wychodziło ze znajomości między sobą. Po prostu Pachura... Ja pracowałem w prototypowni, a obok prototypowni była narzędziownia, no, to często-gęsto, jak się fuchy robiło... On był kopiarzem, na kopiarce pracował. No, to jak się fuchę jaką robiło, kopiarka była niezbędna, no, to my...

A dużo się robiło fuch?

J.B.: A dużo się robiło fuch, no. [śmieje się] No i to takich dosyć poważnych. No, tak, że stąd my się znaliśmy, nie?

No, to właśnie z takich znajomości, jak z Jarzmikiem, bo znaliśmy się z wydziału. On był konstruktorem-inżynierem, ja byłem ślusarzem-narzędziowcem i jego projekty opracowywałem, montowałem, składałem. Chyba ze dwa patenty tam jakieś jako współautor mam, jakieś takie rzeczy. Miałem, nie powiem, smykałkę do ślusarstwa, a on był... On i potem był jeszcze taki inżynier... Nie inżynier nawet, technik, ale bardzo dobry konstruktor. Oni podchodzili do tego jak niewielu innych inżynierów, że jak ślusarz coś zaproponował, to oni to rozważali i często-gęsto poprawiali i tym sposobem między innymi do patentu się dostałem, bo zaproponowałem takie rozwiązanie, które im się spodobało.

Jak przyjechał nasz przedstawiciel, ten pan Pachura, z Gdańska przywiózł te papiery, statut, propozycje, jak to wszystko organizować, to myśmy zgłosili komisję zakładową do dyrekcji, już oficjalnie, bo przedtem jeszcze nic się nie odzywaliśmy. Zgłosiliśmy się oficjalnie i rozpoczęliśmy nabór do Związku.

A jakie było nastawienie dyrekcji?

J.B.: U nas był taki układ, że nawet pierwszy sekretarz zakładowy to w sądzie świadczył na moją korzyść. Tak, że to był taki zakład raczej, gdzie dyrekcja chyba nie bardzo lubiała ten socjalizm, no. Tak, że oni nie stawiali specjalnych... W ogóle w zasadzie pretensji nie stawiali. Jak żeśmy przedstawili listę komitetu założycielskiego, no, to [dyrektor zakładu] przyjął [ja] do wiadomości i udostępnił nam pomieszczenie, niezbędny sprzęt, maszynę do pisania. A ponieważ ludzie bardzo szybko napływali, zapisywali się i z Jordanowa, i stąd, i stamtąd, gdzie się dało, na każdym wydziale poszły listy i ludzie się wpisywali, tak, że nabierało się tego ponad trzy tysiące, więc dwie osoby oddelegowano do pracy w biurze plus sekretarkę.

Czy mieliście w zakładzie jakikolwiek kontakt z opozycją przedsierpniową?

J.B.: Przedsierpniową... Raczej nie. Jedyne, co mieliśmy, to ten właśnie kontakt z Gdańskiem i nic poza tym.

Ale to dopiero po sierpniu.

J.B.: Tak, tak. I ta złość tylko z tego, co było... Zresztą z tymi cenami, to wszystko, to tak szło, tak się to szarpało.

A jak Pan to pamięta, czy mieliście taką potrzebę, żeby stworzyć autentyczny związek zawodowy czy w tym było od początku coś więcej?

J.B.: No, nas zachwyciło to, że ma być samorządny, niezależny od wszelkich organów państwa, że wreszcie zaczniemy mieć jakieś znaczenie w zakładzie, bo to się... Nie miało się nic do powiedzenia. Liczyliśmy na to, że potrafimy coś dla ludzi zrobić. Myśmy byli jednym z pierwszych zakładów [w Krakowie]. Huta chyba była pierwsza. My, MPK, Elbud, to wszystko się kontaktowaliśmy ze sobą i mniej-więcej w jednym czasie powstawaliśmy. Potem przyszedł zjazd regionalny, nawet którąś legitymację mam ze zjazdu...

A kiedy Pan został przewodniczącym komisji zakładowej?

J.B.: Legitymację mam z pierwszy zero-dziewięć osiemdziesiąty rok...

Bardzo groźnie Pan wygląda na tym zdjęciu.

J.B.: No, tak było. [śmieje się] Wtedy ważyłem dziewięćdziesiąt kilo, było, nie było. Teraz to jestem chudzina, no.

Trzon się składał z tych paru zakładów, więc znalazłem się w zarządzie Regionu, jako członek zarządu Regionu. A do prezydium zarządu Regionu przegrałem z Majdzikiem. No. Bo on był z Elbudu, był młodszy, no, to jakoś tak...

S.B.: Zakład większy...

J.B.: Większy zresztą zakład. Coś o dwa głosy przegrałem. Niewiele, nie. Byłem tuż-tuż, ale... Ale przegrałem.

Członkowie Zarządu normalnie byli w zakładzie, a jak trzeba było gdzieś pojechać, do innych zakładów, coś tam pomóc w stworzeniu komisji zakładowych, to się wyjeżdżało na delegacje, dlatego był zastępca też zatrudniony, w Armaturze także. Ten jako drugi niepracujący fizycznie. I Jarzmik był szefem komisji rewizyjnej. Ale on pracował normalnie. Tak, że były tylko dwie osoby plus sekretarka oddelegowana była, czyli trzy osoby mieliśmy oddelegowane.

Zaczął Pan mówić o zjeździe regionalnym.

J.B.: No. Ponieważ ja byłem człowiekiem ogólnie biorąc nieśmiałym, bardzo nieśmiałym, jak chodzi o kontakt z dużą grupą ludzi, szukałem sposobu, żeby jakoś przełamać się w tym wszystkim, więc wystartowałem na przewodniczącego zarządu Regionu. No i jeździłem na spotkania z ludźmi przed wyborami. Również podczas tego zjazdu trochę zabierałem głosu, tak, że ogólnie na tyle się rozwinąłem, że już mi to nie przeszkadzało, potrafiłem się zachować w obecności dużego tłumu.

Czyli chce Pan powiedzieć, że w pewnym sensie robił to Pan też dla siebie, tak?

J.B.: Tak, tak. No, bo zdawałem sobie sprawę... Trzy tysiące ludzi, nie? Jak przyjdzie do strajku, trzeba przed nimi stanąć, trzeba coś powiedzieć, a mnie tu, kurcze, w gardle zatykało, no. Łapało mnie coś za gardło i nie mogłem się wysłowić. Tak, że szukałem sposobu, jak to przełamać, żeby można było funkcjonować w tym wszystkim. W małych grupach nie miałem problemu, ale jak tłum stał przede mną... Zresztą po dziś dzień nie lubię tłumu. No, ale to przełamałem, jakoś to szło.

No i tak doszło do grudnia. W grudniu, jak Jaruzelski się w telewizji pokazał, to ja na drugi dzień... To w nocy jakoś mówił... Jeszcze pusto, głucho wszędzie, taksówkarza jakiegoś złapałem po drodze, pojechałem pod zarząd Regionu. No, ale tam już czekali mundurowi. I zgarnęli mnie, wzięli na Siemiradzkiego do aresztu. No i tam się zaczęła taka młocka, że tak powiem. Taka gadka, żeby podpisać oświadczenie, że się nie będzie tego... Ja się wyparłem: „nie będę nic podpisywał”. No, to noc mnie przetrzymali, trochę pogrozili, że Syberia, że to, że tamto, że owo. Ale rano mnie wypuścili.

Czego się Pan spodziewał po stanie wojennym?

J.B.: Wszystkiego, szczerze mówiąc. Od więzienia po, między innymi, tak jak to oficer mnie straszył, wywóz na Syberię. Wszystko było możliwe dla nas. Nas tam paru wtedy siedziało na tych deskach, tak coś rozmawialiśmy między sobą i się spodziewaliśmy wszystkiego. Tam niby odgrazali się, że jak podpiszę, to wypuszczą, jak nie podpiszę, no, to mnie czeka dalsze postępowanie i tak dalej. Ja mówię: „przecież ja nic nie zrobiłem, przyszedłem tylko się dowiedzieć, co dalej i co z zarządem Regionu, i jak mam dalej postępować”. No i dali mi spokój. To chyba było jakoś w niedzielę, tak, że rano, jak mnie wypuścili, to na drugi pojechałem do zakładu. Okazało się, że przede mną, zanim weszłem na zakład, przede mną aresztowali Jarzmika. Internowali go, na bramie. I to wzburzyło ludzi, no i myśmy się szybciotko zebrali... Komisja zakładowa i wykorzystaliśmy...

Czy wszyscy pracownicy byli wtedy już na miejscu?

J.B.: Pracownicy byli, tak. Bo ja się trochę spóźniłem, jakoś tak z tego, że... Być może dlatego minęło mnie internowanie, bo...

S.B.: Po ciebie już tutaj byli w niedzielę.

J.B.: No. A oni na bramie czekali. Jarzmika chwycili, a ponieważ ja się spóźniłem, to oni już chyba myśleli, że nie przyjdę albo co i odjechali, tak, że się dostałem na zakład. I właściwie jakby nie to aresztowanie, to prawdopodobnie nie dałoby się nic zrobić w zakładzie, bo raczej było wszystko wystraszone. Bo to się tak jakoś... Dosyć groźnie wyglądało wszystko. No, ale po tym aresztowaniu ludzie zaczęli stawać, nie podejmowali pracy, rozglądali się. No, myśmy się w to włączyli, rozeszliśmy się po wydziałach, po cichu żeśmy tam tym takim bardziej zdecydowanym podpowiadaliśmy, żeby stawali. No i udało się. Jordanów to nawet do dziś dnia nie wiem, czy oni... Ale słyszałem, że też tam coś się zorganizowało. Ale nasz zakład stanął, w zasadzie w całości. Aż do wieczora staliśmy. W nocy zostało nas chyba z osiemdziesiąt osób, bo reszta się rozeszła. Całą noc rozmawialiśmy z dyrekcją, próbowaliśmy coś tam dozgodzić, jakoś tak, żeby to załagodzić, żeby wyjść jakoś z tego...

Czego oczekiwaliście od dyrekcji?

J.B.: No, przede wszystkim nie wyciągania konsekwencji. Bo tu już widzieliśmy, że szanse są niewielkie, więc trwały... Przeciągaliśmy, że tak powiem, no. Szukaliśmy...

A mieliście wtedy jeszcze takie poczucie, że dyrekcja zakładu coś w ogóle może?

J.B.: To znaczy, jeżeli chodzi o sam zakład, to tak. Oni przede wszystkim prosili, żeby na przykład nie zamrozić pieców na odlewni, żeby nie uszkodzić zakładu jako takiego. Między innymi o tym była rozmowa, jak to zorganizować, bo niewielu ludzi zostało. Większość pojechała do domu, zostało trochę kobiet i po paru ludzi na wydziałach. Tak, że to wszystko trzeba było pilnować, żeby to... I to była potem linia obrony w sądzie, między innymi. Tu między innymi ten sekretarz partii też stanął po mojej stronie, że nie

dopuszciliem do tego, żeby... Bo byli też tacy, co byli gotowi przerwać wszystko, odciąć prąd. Elektryków też mieliśmy.

Ale godzina chyba czwarta rano, wjechali do zakładu. Przyjechało parę samochodów, zakład obstawili, no i zaczęli wyciągać wszystkich skąd się dało. Myśmy byli w tym czasie na rozmowach na odlewni: ja, bodajże Urban i ten Dańko. Rozmawialiśmy. Pachura pilnował ogółu, był tam gdzieś z ludźmi. No, a myśmy rozmawiali właśnie jeszcze ciągle z dyrekcją. Wpadli, zgarnęli nas. No i przed bramą ten sam oficer, co poprzednio mnie próbował nakłonić do niedziałania, mówi: „no, to co, spotykamy się znowu?”. A ja mówię: „no, taki widocznie los, nie?”. [śmieje się] No i tym razem trafiłem na Mogilską. Żona próbowała mnie znaleźć, gdzie w ogóle jestem, nie wróciłem do domu... Wieczorem nas zabrali do samochodu. Mnie skuli, nie zapomnę tego, bo mnie skuli z drugim takim chłopakiem, bo z tyłu siedzieliśmy. I żołnierz pokazał nam odbezpieczony pistolet, żebyśmy nie próbowali... Maszynowy zresztą, Kałasznikowa. Żebyśmy nie próbowali jakichś tu podrygów, bo on jest uzbrojony. No i zawieźli nas do Wiśnicza.

Dobę właściwie tego strajku było, bo od razu rozbili nas, rozbili MPK po drodze od razu, ten Elbud. Kurcze, szli tak po kolei, tylko Huta troszeczkę dłużej się przetrzymała, no, bo to olbrzymi zakład. A nas to spacyfikowali raz-dwa. U nas w nocy komisja zakładowa cała została i chyba z osiemdziesiąt kobiet. A mężczyźni przeważnie wszyscy porozchodzili się, ci, co nie mieli związku z komisją zakładową. Bo mieli rano normalnie przyjść do pracy.

Czy w zakładzie pracowało wiele kobiet?

J.B.: Dużo kobiet było. Więcej jak mężczyzn. Bo wszystkie wydziały mechaniczne, szlifiernie... Trochę na szlifierniach było mężczyzn, ale na montażu, to wszystko było kobiety. Po dziś dzień tak jest, bardzo dużo kobiet tam pracuje, bo cały montaż armatury, to przeważnie kobiety robią. Tylko odlewnie są przez mężczyzn obsadzone i to nie w całości, bo część obsługuje kobiety, szczególnie czyszczenie odlewów, tego wszystkiego. Jakoś tak kobiety były bardziej zawzięte niż mężczyźni. Mężczyźni poszli w większości na noc do domu, że rano przyjdą, a z osiemdziesiąt kobiet zostało. No i to wszystko jak nas zabrali od dyrekcji i jak żeśmy przyszli na wartownię, to była taka sala obok wartowni, to ta sala już była pełna. Ze wszystkich wydziałów pozbierali już ludzi i tam było pełno.

Nas od razu odizolowali: mnie, Pachurę, Urbana, Dańko... No, wszystko. Nas zabrali na Mogilską. Z tym, że tamtych dwoje, Pachurę i Dańko po dobre wypuścili, Urbana odłączyli do oddzielnego postępowania, a mnie wywieźli do Wiśnicza. Byłem przewodniczącym i już było wiadomo, że prawdopodobnie będę objęty oskarżeniem. Jego od razu, nie wiem, dlaczego i jak to się stało, ale od razu wzięli z Mogilskiej do Montelupich i on stanął jako pierwszy przed sądem. A mnie wysłali do Wiśnicza, a potem z Wiśnicza chyba po dobre albo dwóch tu mnie przywieźli na rozprawę sądową.

S.B.: A nie Jasiu, bo Ciebie przywieźli na... Bo cały czas nie wiadomo było, gdzie byłeś.

J.B.: No.

S.B.: Ciebie przywieźli na Mogilską dzień przed Wigilią.

J.B.: Na Montelupich.

S.B.: Na Mogiłą. Przyszli do mnie, powiedzieli, że jesteś na tej... Ja o godzinie siódmej wieczór pojechałam na Mogiłą. „Owszem, jest. Proszę...” – na drugi dzień miała być wigilia – „Proszę przyjść do godziny dwunastej, paczkę mu doręczymy”. Tą paczkę już do dwunastej dowiozłam. Nie przyjęli, bo już cię nie było, nie wiadomo, gdzie, nie powiedzieli...

J.B.: Bo do Wiśnicza mnie wieźli.

S.B.: Już cię wywieźli na Montelupich.

J.B.: Do Wiśnicza.

S.B.: Na Montelupich, Jasiu. Przecież wiem. Na Montelupich cię wywieźli.

J.B.: No, a kiedy w Wiśniczu byłem?

S.B.: No, to przecież byłeś po trzynastym w Wiśniczu, a to jest przed świętami. Te święta... W drugi dzień świąt wieczór przychodzi tego... Mówi mi: „proszę, jest mąż na Montelupich. Jutro proszę przyjść rano do godziny ósmej” – mówi. Przed ósmą, bo o godzinie... O ósmej otwierają, żeby widzenie można było załatwić. Zostawiłam dwoje dzieci małych. Pojechałam o siódmej rano, żeby na ósmą tam być. [płacze] To do godziny siedemnastej mnie tam trzymali za czym się z nim zobaczyłam. Wszystkich przetego, a ja bez jedzenia, bez picia... Nie wychodziłam, bo przecież w każdej chwili mnie mogą zawołać. Do godziny siedemnastej siedziałam. Dopiero mnie wezwali na to widzenie. Do świąt nic nie wiedziałam. Mówię, dzień przed wigilią dopiero się dowiedziałam, że jesteś przewieziony na Mogiłą.

J.B.: [wzdycha] No, tak to jest. No, najlepsze było... Taka ciekawostka: jak nas traktowano. W Wiśniczu więźniowie, ci o długoletnich wyrokach roznosili jedzenie. I przychodzę, mówią: „coście za jedni, kurcze, przed waszym przyjazdem kazali nam nową blachą drzwi obijać, bo przywiezają jakichś przestępców”. Nie? [śmieje się]

Czy był Pan w tym czasie przesłuchiwany?

J.B.: Nie, w Wiśniczu. To była ogólna sala, byli tam i z rolniczego Związku, i skąd się dało. Wszystko, co miało iść do sądu, do procesów, to przeważnie siedzieli w Wiśniczu. Część została chyba internowana, jako internowana tam siedzieli dłużej, a część przewozili do sądów.

A kiedy się zaczęła pańska sprawa sądowa?

J.B.: Zaraz po świętach. Tak, chyba już to początek... [do żony] Stasiu?

S.B.: Co?

J.B.: No, bo ja już nie bardzo... Nie bardzo pamiętam. Jeszcze w osiemdziesiątym roku, czy w osiemdziesiątym pierwszym proces się zaczął?

S.B.: No, zaraz po świętach.

J.B.: Czyli nie po nowym roku, tylko po świętach?

S.B.: To znaczy, to było już w styczniu chyba tak, bo to zaraz było po tego...

J.B.: Mnie się też tak wydaje, że w styczniu się to zaczęło.

S.B.: W styczniu się już zaczął i do końca tego... Co tydzień tak, że do końca gdzieś stycznia chyba było.

J.B.: No. I nie powiem... Bo nasi sędziowie raczej... No, chyba dosyć łagodnie to traktowali. Ten Zefiryn Jeleń co prawda występował o wysoką karę, ale pierwszy sąd chyba... A coś tam chyba z półtora roku zasądzi.

Jakie były zarzuty?

J.B.: No, organizacja i przewodnictwo w strajku, w zakładzie.

A jeszcze ich sposób postępowania. W Montelupich jak siedzieliśmy, to nas posadzili... W jednej celi byliśmy z początku z Lasotą, tym z Krakowa i Parafińskim. Tam rozpoczęliśmy protest. Głodowy. Jak rozpoczęliśmy protest, to zaraz po pierwszym posiłku, jak nie przyjęliśmy posiłku, to nas rozparcelowano do bandziorów. Każdego do jednej celi. A protest między innymi polegał raz, że nie jeść, a drugie, że nie będziemy ścielić łóżek, wszystko to, że... My nie czujemy się więźniami, więc nie będziemy tu nic robić. Ani sprzątać po sobie, ani nic. No, to nas rozparcelowali. Każdego wsadzili do jednej celi z więźniami pospolitymi. No i po robocie, po proteście. A tam... Tam ten, co ja na przykład trafiłem, od razu postawił sprawę jasno: „albo ścielisz łóżko i nie robisz nam kłopotów, albo będziesz miał kłopoty z nami”. No i tyle było do gadania. No. A tak ogólnie to nie stawiali się, poza tym, że trzeba było odstąpić od strajku, no, bo przecież nie będę się bił w celi z tym... No. Nie o to tu chodziło.

Jak długo trwała pańska sprawa sądowa?

J.B.: No, krótko trwało, bo to raz-dwa, oskarżenie, przeczytali, co było tam do... Ten akt oskarżenia, za co to wszystko jest i coś dostałem, nie wiem, nie pamiętam już dokładnie, nie mam tych papierów, półtora roku bodajże, w jakimś zawieszeniu. Prokurator odwołał się, a nasz adwokat, Romaszewski był moim adwokatem... [do żony] Romaszewski, nie?

S.B.: Tak, no.

J.B.: Razem z żoną. No. No i odwołali się też. To sprawa trafiła do Warszawy, Warszawa odesłała sprawę z powrotem do Krakowa, do ponownego rozpatrzenia. W czasie ponownego rozpatrzenia nasi tu sędziowie orzekli, że winien, ale odstępują od kary z powodu tych dobrych uczynków, że tak powiem, nie? Że nie uszkodzony zakład, że tego, więc odstępują od kary, a Warszawa...

Pamięta Pan skład sędziowski?

J.B.: Nie, nie. Nic nie pamiętam, bo to wszystko było na papierach, a ja pamięci nie mam takiej. Poza Zefiryńcem Jeleniem to nie pamiętam nikogo. Ten mi się zapadł w głowę, bo z nim miałem najwięcej do czynienia, a z sędziów, to... Oni się nie przedstawiali. Było w papierach tych, ale... Nie zwracałem na to uwagi. No i Warszawa... Przyszedł wyrok, musiałem jechać, bo adwokat radził, żeby pojechać. Na drugą rozprawę powiedział, że nie ma potrzeby. Jak nasi tu odstąpili od ukarania, to tam się, mówi[ł], już nic groźnego nie stanie, że pojedzie sam. Stamtąd przyszło, że dostałem chyba, jak się nie mylę w tej chwili, to dwa lata na trzy lata zawieszenia. No i na tym się skończyło. Wróciłem.

Nie, ostatnia sprawa to była w Krakowie jednak. [do żony] W Krakowie była, bo z Krakowa przecież mnie zabrałaś.

S.B.: No, z Krakowa.

J.B.: Z Krakowa, więc Warszawa coś tam... No, właśnie szkoda, że nie ma tych papierów, bo to, kurcze, nie pamiętam już w tej chwili, ile oni tam dali i jak. No, w

każdym bądź razie sprawa jeszcze raz trafiła do Krakowa i w Krakowie dostałem te dwa lata na trzy lata bodajże zawieszenia, no i że mogę być zwolniony. Któryś z milicjantów wtedy podpowiedział żonie... No, powiedz ty, bo to do Ciebie była mowa.

S.B.: No, powiedział mi, że „jak chce pani męża od razu, to do sędziego, niech wypisze, bo tak, to przyjdzie i nawet za dwa tygodnie, bo za czym papiery dojdą”.

J.B.: No i poszła do sędziego, i mnie wypuścili od razu z sali sądowej, i wróciłem do pracy.

W pracy nie robili pretensji, tyle, że powstało to... Jakżeż to się nazywało? Cholera jasna... No, coś tam takiego było, że oni mnie w zakładzie jak wróciłem, to natychmiast zaczęli mnie nagabywać, żebym do nich wstąpił, że jestem popularny, że pomogę w tych przemianach, w odbudowie. No, ale odmówiłem, bo, mówię: „to nie mój kierunek”. Bo to organizowali przedstawiciele dyrekcji, więc mówię: „ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego”. To było takie te, no, oni w to próbowali wciągnąć część działaczy z tamtego okresu, tych właśnie z wyrokami. Szukali sposobu, żeby dotrzeć do ludzi, żeby ich... No, coś takiego, komisja ocalenia narodowego, czy coś tam takiego, nie wiem.

No i tak doszło do osiemdziesiątego dziewiątego. Normalnie pracowałem. W tamtym czasie się... Pierwsze trzy lata to byłem w zawieszeniu, więc nie wtrącałem się. Jak miał papież przyjechać, to mnie wzywali na milicję.

Tak profilaktycznie?

J.B.: Profilaktycznie. Ostrzegali, żebym się nie mieszał, żebym nie chodził na ten, że mnie odwieszają, że tego. Ja mówię, że ja i tak nie lubię tłumy, więc i tak prawdopodobnie nie pójde na te uroczystości, więc w zasadzie dali mi spokój. No i potem osiemdziesiąty dziewiąty rok...

A poza tym coś jeszcze? Jakiegokolwiek naciski...?

J.B.: Nie, nie. No, utrzymywaliśmy kontakty ze sobą, ale, tak, jak mówię, dyrekcja nie ruszyła... No, jednego, Urbana. No, ale to z powodów zawodowych. Coś on tam się zadarł z kierownikiem wydziału i go przenieśli do innego wydziału.

Ja cały czas pracowałem normalnie, aż do osiemdziesiątego dziewiątego. W osiemdziesiątym dziewiątym, jak się zaczęło znowu, odrodziła się „Solidarność”, to u nas od razu powołaliśmy z powrotem komisję zakładową. Mnie wybrano przewodniczącym i do dziewięćdziesiątego piątego roku byłem przewodniczącym komisji zakładowej. W dziewięćdziesiątym piątym... Poszłem na rentę.

A czy byli w zakładzie przed osiemdziesiątym dziewiątym rokiem, jacyś ludzie, którzy się angażowali w podziemną „Solidarność”?

J.B.: Ulotki tam krążyły, ale nic ponad to nie było. Nie było jakichś ruchów specjalnych takich, znaczących jakichś, tego nie było u nas. Zostaliśmy odcięci w pewnym sensie od tej inteligencji pracującej, od inżynierów. Inżynierzy schowali głowy pod biurka, Jarzmika już nie było, bo był we Francji i nie miał nas kto po prostu tak poprowadzić do tego, no. Zajmowaliśmy się swoim, czekaliśmy, jak dalej potoczą się losy tego Związku. W osiemdziesiątym dziewiątym wykorzystaliśmy natychmiast... Ja zostałem przewodniczącym, do zarządu Regionu nie startowałem. Tam żeśmy oddelegowali, do tego wybraliśmy...

I to było oczywiste, że Pan zostanie przewodniczącym komisji, jako dawny przewodniczący? To była ciągłość, tak?

J.B.: Kontynuacja. Tak, tak to uznano i wybory w zasadzie bez kontrkandydatów przeszły. Bodajże dwie kadencje byłem przewodniczącym, niepełne. Pełne dwie kadencje. Bo jedna kadencja była dwa lata, druga trzy lata. To stopniowo wydłużali. A oddelegowaliśmy przedstawiciela naszego do zarządu Regionu, bo byliśmy dużym związkiem, jak na Region w tamtym momencie, w osiemdziesiątym dziewiątym. To był ten Dańko Andrzej. On tam się zajmował sprawami dyscyplinarnymi. Taka związkowa dochodzeniówka, jakby coś takiego. On tam był szefem tego przez cały ten okres, jak ja byłem przewodniczącym i potem, jak poszedłem na rentę, to on jeszcze chyba został do końca kadencji w zarządzie Regionu.

No i potem to się zaczęło powoli rozłazić. Ja byłem na rencie, ludzie wybrali... Po mnie wybrali pana inżyniera przewodniczącym, chociaż im mówiłem, że mówię: „wybierając inżyniera przewodniczącym Związku „Solidarność”, nie liczcie na to, że on będzie z wami kawę pił, czy z wami będzie się spotykał, bo będzie z dyrekcją rozmawiał”. No i potem się tak okazało. To, co ja jeszcze odchodząc wywalczyłem, te zapisy takie korzystne dla Związku, to wszystko zostało za jego kadencji zniwelowane, wszystko, kurcze, uspokoili, załatwili, a on po jednej kadencji zabrał dupę w troki, że tak powiem i wyjechał. Wypisał się ze Związku i poszedł w cholerę. Potem został przewodniczącym ten, co jest do tej pory. To był też taki... Porządny, no, nie można mieć pretensji, bo chłopak był z wiary, razem na prototypowni pracowaliśmy... To był właściwie taki ośrodek oporu, ta prototypownia i narzędziownia. No i on po dziś dzień jest przewodniczącym, bo potem kadencyjność się skończyła i można było stawiać do wyborów dowolną ilość razy.

Czy zna Pan powody, dla których to narzędziownia była takim miejscem?

J.B.: No, bo te wydziały, prototypownia i narzędziownia, to się składała raczej z ludzi, że tak powiem, piśmiennych. Bo tam, to różnie bywało. Byli pracownicy tacy typowo fizyczni, przyuczeni do tego, a to jednak było wszystko po zawodowce, po technikach. Tu była głowa, no, właściwie. Jeszcze jak Jarzmik był, to on nas wspomagał, a potem, jak jego nie było, to myśmy zostali sami i tu żeśmy się organizowali, i tu powstawało wszystko. Było, nie było, taki narzędziowiec, to musi się znać i na rysunku technicznym, i musi umieć rozmawiać z inżynierem na temat roboty, i tego. To jednak jest taki inny trochę kontakt. Jest niby tylko zawodówka, ale ogólnie rzecz biorąc jest to jednak jakiś troszeczkę wyższy poziom niż na odlewni na przykład, gdzie są ludzie przyuczeni od pługa, od tego, zwożeni, tak, jak w tamtych latach było ze wsi. Gdzieś tam autobusy jeździły, zwoziły ludzi do roboty, ich to guzik obchodziło wszystko.

Jak Pan ocenia wydarzenia osiemdziesiątego dziewiątego roku?

J.B.: No, nie byliśmy tak jakoś tak rewelacyjnie nastawieni do tego, bo widzieliśmy, że „Solidarność” jako ta z osiemdziesiątego roku stopniała po prostu. Myśmy w zakładzie już widzieli. Już się wpisało dużo mniej ludzi, bo nabór przeprowadzaliśmy od początku, więc duża część ludzi nie chciała wstępować po doświadczeniach stanu wojennego. Reszta, co wstąpiła to też tak... Ciężko było namówić do jakiej rozróby w zakładzie, do jakiejś walki. To nawet jak chodziło o płace, jak próbowaliśmy coś załatwić z dyrekcją, wywalczyć, to jak chodziliśmy po wydziałach i zbieraliśmy podpisy, i tłumaczyliśmy ludziom, że „człowieku, podpisz, przecież tu nie chodzi o to, nie będziesz strajkował, tylko podpisz, że jesteś gotowy do strajku”. To mnie, jako przewodniczącemu ułatwi rozmowę, bo ja te listy pokażę dyrektorowi i powiem: „widzisz pan, ile tego jest? Jak nie dogadamy się to staniemy”, nie? [śmieje się] Taki blef. No i było ciężko namówić ludzi, a dopiero stanąć tak do strajku, no, to było bardzo trudno. I po drugie, z komisją też już tak się... Część ludzi to była tak nastawiona, że jak idzie się na rozmowy do dyrekcji, to

„nie ustępujemy ani kroku”. Ja mówię: „przecież jeżeli się nazywa to negocjacje, to negocjujemy. Coś musimy ustąpić, coś próbujemy, żeby dyrekcja ustąpiła”. Gdzieś ten środek, gdzieś to połączenie musi nastąpić, nie? No, tośmy prowadzili takie z dyrekcją rozmowy. Jak coś nie można się było dogadać, tośmy prosili o przerwę i wychodziliśmy do drugiego pokoju, douzgadnialiśmy się, dogadywaliśmy się i wracaliśmy znowu. I to jakoś tak wychodziło, bo zdobywaliśmy tą jakąś przewagę u dyrekcji. No, w każdym bądź razie jest tak, że do tej pory jak idę na zakład, to jakoś mi pod nogi nie plują, jak innym.

S.B.: Ale, wie pan, to też było... Przecież ja pracowałam w straży pożarnej, to byli ludzie zastraszeni. Było powiedziane: albo się wypisujesz ze Związku, albo dymy, do widzenia. I naszą przewodniczącą Związku wyrzucili z pracy.

J.B.: Pomimo, że ustawowo nie wolno tego było.

S.B.: No, nie było. Wyrzucili ją z pracy, zwolnili ją. Tylko, że się później okazało, że ona była w ciąży i musieli ją przywrócić do pracy.

J.B.: Ale z powodu ciąży, a nie z powodu...

S.B.: Tak było. Niestety, ale tak, bo byli ludzie zastraszeni. Dlatego później to było tak w osiemdziesiątym dziewiątym.

J.B.: No.

Czy jest tak, że osiemdziesiąty dziewiąty rok był w waszym odczuciu, wtedy w zakładzie, jednoznacznie zmianą na lepsze?

J.B.: No, tak. Tak, oczywiście, bo to jednak uzyskiwaliśmy wolność jako kraj, było, nie było. To coś było. Ten okrągły stół... Myśmy niewiele z tego rozumieli. A dopiero potem, słuchając tego wszystkiego, co się tam działo, jak to pokazywali, myśmy się z tego cieszyli, chociaż nie bardzo to jakoś tak... No, nie bardzo to rozumieliśmy wszystko. Ale ogólnie byliśmy zadowoleni, że wreszcie mamy Polskę, że wreszcie ten socjalizm zakichany odchodzi. Że może będzie inaczej. No, ale po paru latach się okazało, że zaczęli nam ludzie wytykać, że to przecież nie tak miało być. No i tak jest po dziś dzień. W „Solidarności” w Armaturze zostało w tej chwili coś trzystu ludzi ledwo i to nie wiem, czy nie mniej, bo się wszystko powoli wypisuje. No, bo między innymi tam takie ten inżynier wprowadził zasady... Ten przewodniczący też nie zmienił tego. Wróciły z powrotem kwiatki na dzień kobiet, czego myśmy nie stosowali. Za niego wróciło nawet, kurcze, przywożenie ziemniaków i tym podobnych rzeczy. No i to jakoś tak się rozlało. Związek się zrobił trochę taki... Co najważniejsze, wpisali, że będą bronić wszystkich, no, to członkowie Związku mówią: „no, to, kurcze, z jakiej racji my płacimy składki, jak macie zamiar bronić wszystkich?”. No. I w końcu wyszło z tego, że nikogo nie mogli obronić. No.

Dziękuję za rozmowę.

Zapis z nagrania i redakcja tekstu: Jacek Galewski